

Mieszkałem w małym miasteczku niedaleko Stuttgartu, gdzie mówiło się, żyło i myślało po szwabsku. Szwabski dialekt pieścił moje uszy końcówką „le” w zdrobnieniach, szwabska kuchnia pieściła moje podniebienie szpeclami i mousztem, czyli małymi kluseczkami i młodym winem z jabłek. Jedynie szwabskie myślenie mnie nie pieściło, bo Szwabowie są zamknięci w sobie. Podobno Szwab najchętniej mieszkałby na szczycie góry, za wysokim murem, a skąpstwem nie ustępuje Szkotowi. Mieszkałem w szwabskim domu, ale pracowałem w firmie, gdzie było dużo gastarbeiterów, a wśród nich troje z Polski.

Już na pierwszym obiedzie w zakładowej kantine przysiadł się do mnie Adamczyk.

– Nawiałeś z Polski, czy na czarno tu robisz? – zapytał.

– Nie nawiałem i mam zezwolenie na pracę – odpowiedziałem, łykając moje pierwsze w życiu szpecle.

Sąsiad popatrzył na mnie podejrzliwie i już chyba zaczął żałować, że się przysiadł. Wyjaśniłem mu, jak się tu znalazłem i szybko dodałem, że nie chcę zostać tu na zawsze. Ta ostatnia informacja wyraźnie go uspokoiła.

– Jak jest teraz w Polsce? Chujowo. Prawda? – kontynuował.

– Chyba masz tam kogoś, to wiesz – odpowiedziałem.

– Nie kontaktuję się z rodziną. Ja spieprzyłem jeszcze przed stanem wojennym, więc teraz muszę uważać, żeby im nie narobić kłopotów – odparł.

Przerwa obiadowa się skończyła i pogaduszki rodaków również.

Na drugi dzień mój nowy znajomy znowu się przysiadł.

– Powiedz. Chujowo jest w Polsce. Prawda? – zaczął już przy zupie.

– No, dobrze nie jest – odpowiedziałem.

– W sklepach nic nie ma. Prawda? – ciągnął.

– No, nie ma – odparłem.

– A ubecja węższy? – zmienił temat.

– Teraz już nie tak bardzo – odpowiedziałem. – Stan wojenny jest odwołany i cały system powoli się sypie.

– Ale musiałeś się wypowiadać na ubecji przed wyjazdem. Prawda? I cyrograf, że wrócisz, też musiałeś podpisać? – drążył.

– Wypowiadać się musiałem, ale żadnego cyrografu nie podpisywałem – odpowiedziałem.

– Ej! Coś pieprzysz. Wszyscy muszą podpisywać – powiedział Adamczyk, patrząc na mnie spode łba.

Dzwonek na koniec przerwy zakończył naszą rozmowę, ale w mniemaniu Adamczyka byłem już ubec-
kim kapusiem.

Spotykaliśmy się tylko w kantynie i on zawsze tak samo zaczynał rozmowę:

– Chujowo w Polsce. Prawda?

Opowiadał, że szczęśliwie wyjechał z Polski tuż przed stanem wojennym, bo później zostałby pewnie za-
bity.

– Czy byłeś jakimś ważnym działaczem opozycji? – zapytałem któregoś dnia. – Dlaczego musiałeś ucie-
kać?

– Nie. Nie byłem, ale przecież każdy myślący inaczej niż komuchy, był wtedy zagrożony. Nie pamiętasz?
– odpowiedział.

– Za samo myślenie nikogo nie wsadzali. Musiałeś ostro działać. Gdzie działałeś? – teraz ja drażyłem te-
mat.

– Nie działałem, ale już nie mogłem tego wszystkiego dłużej znosić – odparł niechętnie.

– Czyli wyjechałeś po prostu do roboty i nie jesteś żadnym zbiegiem politycznym – podsumowałem.

Adamczyk zamilkł i już wiedziałem, że mnie nie lubi.

Przy kolejnym spotkaniu zmienił temat.

– Jak cię szwabady traktują? – zapytał.

– Normalnie. Nic mi nie robią – odparłem.

– Tu się nie przebijesz – kontynuował. – Ja jestem inżynierem i już nieraz im radziłem, jak ulepszyć ich
maszyny, ale oni mnie nie słuchają. Wszystko wiedzą lepiej. W dupie mają mój dyplom. Dla nich jestem
tylko ślusarzem.

– A czego się spodziewałeś? – odpowiedziałem. – Nie masz nostryfikowanego dyplomu, to jesteś ślu-
sarzem. Ja też mam dyplom, a pracuję jako zwykły monter.

I znowu mu się nie spodobałem.

Nasze kontakty osłabły równie szybko jak się zaczęły, bo Adamczyk zawsze wracał do tego, że w Polsce
jest chujowo i że szwabady go nie doceniają. Zacząłem go unikać. Czas upływał, mur berliński chwiał się, a
on wciąż grał rolę cierpiętника, którego ucieczka uratowała przed śmiercią.

Aż nadszedł czas, gdy Tadeusza Mazowieckiego wybrano na premiera, orłowi nałożono koronę i wszyscy
opozycjoniści odetchnęli z ulgą.

– Teraz możesz spokojnie wracać do Polski. Już nikt cię tam nie zamknie – powiedziałem któregoś dnia
Adamczykowi.

– Zgłupiałeś? Tam dopiero teraz jest chujowo, jak się te solidaruchy do władzy dorwały – odpowiedział.

Nieco później poznałem innego człowieka, który wyjechał z Polski.

– Dzień dobry. Nazywam się Kippke – zaczepił mnie starszy pan przy automacie z kawą. – Jesteś ze Śląska?

– Nie. Jestem z Galicji – odpowiedziałem. – A pan skąd jest?

– Z Krapkowic – odpowiedział.

Od tego dnia często jadalśmy razem śniadania. Pan Kippke był śląskim Niemcem, którego rodzina od zawsze mieszkała w Krapkowicach. Gdy przyszli Rusczy, wszyscy Niemcy wyjechali, ale Kippkowie zostali, bo czuli się tam u siebie. Ruscy grabili i gwałcili, ale im jakoś udało się przeżyć bez szwanku. Potem na Opolszczyznę przyjechali polscy repatrianci ze wschodu. Kippkowie się z nimi dogadali i żyli w spokoju.

– Różni byli ci ze wschodu – opowiadał mój rozmówca. – Porządni i dranie, pracowici i lenie. Niedobre było tylko to, że nie dbali o domy. Nic nie remontowali, mieszkali tylko.

– Bo myśleli, że za parę lat wrócą Niemcy – odpowiedziałem. – Ja to znam, bo urodziłem się na Pomorzu. Moja matka też powtarzała, że dom, w którym mieszkamy, nie jest nasz i że kiedyś Niemcy nas wypędzą.

– Mam sąsiada z Pomorza – powiedział pan Kippke. – Z Greifenhagen.

– Znam Greifenhagen – powiedziałem. – To miasto teraz nazwy się Gryfino, a ja urodziłem się w sąsiednim powiecie.

– Ja rozumiem, że oni się bali, ale dom to jest dom – kontynuował pan Kippke. – Ktoś go zbudował, dzieci się w nim rodziły, ludzie umierali. Dom nie jest winny temu, że czasy się zmieniły. O dom należy dbać.

– Kiedy pan wyjechał do Niemiec i dlaczego? – zapytałem któregoś dnia.

– Kiedy Gierek ogłosił, że można łączyć niemieckie rodziny, to moja żona zaczęła namawiać mnie na wyjazd. Gadała, nudziła i w końcu dopięła swego. Przyjechaliśmy tu, bo jej wujek tu mieszkał.

– No i co? Dobrze zrobiliście? – dopytywałem.

– Czy ja wiem? – usłyszałem w odpowiedzi. – Pieniądzy mam tu więcej, kupić wszystko można i życie jest tu łatwiejsze. Niestety wujek już zmarł i znowu zostaliśmy tu sami, bo cała rodzina jest bliżej Aachen. Tylko ten sąsiad z Greifenhagen jest takim bliższym nam człowiekiem.

– Ale jest pan w ojczyźnie, bo pan jest Niemcem – drażyłem.

– Moją ojczyzną są Krapkowice – nawet te polskie. Ja jestem Ślązakiem, nie Szwabem ani Bawarczykiem – odpowiedział.

Innego dnia zagadnąłem go o gastarbeiterów.

– Nie powinno ich tu tyłu być, bo robotę nam zabierają – odpowiedział prosto. – Jak ktoś ma tu rodzinę, to niechaj pracuje, ale tych Turków nie powinno tu być.

– A Polacy powinni tu być? – zaczępiłem. – Na przykład tacy, co przed komuną uciekli, jak Adamczyk.

– Jaki on tam uciekinier polityczny – fuknął pan Kippke. – Uciekł z jakiejś wycieczki, bo mu się w Polsce robić nie chciało i myślał, że mu tu wszystko za darmo dadzą. Najgorsze jest to, że przed Turkami narzeka na Polskę. Ja jestem Niemcem, ale wstydzę się za niego.

Mieliśmy teraz nowy temat do rozmów, czyli Adamczyka i Polaków w Niemczech. Okazało się, że pan Kippke obserwował tutejszych Polaków i słuchał, co i do kogo mówią. Nie było ich w okolicy zbyt wielu, ale wszyscy byli wiecznie niezadowoleni i ciągle narzekali.

– Niektórzy nawet udają, że nie są Polakami, jak ta durna Pilz z biura – powiedział któregoś dnia.

Po kilku dniach pokazał mi panią Pilz i opowiedział jej historię. Podobno urodziła się w Gliwicach, ale nie była Niemką ani nawet Ślązaczką, bo nie miała ni krzty śląskiego akcentu. Gdzieś poznała dużo starszego od niej pana Pilza, wyszła za niego za mąż i przyjechała tu. Pan Pilz był konstruktorem w naszej firmie i załatwił jej pracę w biurze.

– Pilzowie mieszkają kilka ulic stąd, a ona udaje, że nie jest Polką. Wszyscy w firmie to wiedzą i śmieją się z niej za plecami. Żeby nie jej mąż, który jest tu szanowany, to śmieliby się jej w oczy – zakończył opowiadanie pan Kippke.

– Dzień dobry, pani Pilz – zagadnąłem ją po polsku przy najbliższej okazji.

– Guten Morgen – odpowiedziała i poszła dalej.

– Faktycznie pani Pilz rozumie polski, ale odpowiada po niemiecku – pochwaliłem się zaraz panu Kippke.

– A widzisz. Nie mówiłem? – ucieszył się.

Wkrótce okazało się, że Pilzowie mieszkają niedaleko mnie, a pani Pilz chodzi często moją ulicą. Dopędziłem ją kiedyś i zaczępiłem po polsku.

– Dzień dobry, pani Pilz.

– Dzień dobry – odpowiedziała po niemiecku.

– Czy mieszka pani w pobliżu? – kontynuowałem po polsku.

– Tak, na ulicy Bacha – odpowiedziała po niemiecku.

– A ja na ulicy Beethovena – ciągnąłem po polsku.

– Wiem – odpowiedziała po niemiecku.

I tak porozmawialiśmy o wszystkim i o niczym – ja po polsku, ona po niemiecku. Gdyby ktoś nas podsłuchał, to byłby zdziwiony, że się rozumiemy.

– Pogadałem wczoraj z Pilzową na ulicy – pochwaliłem się nazajutrz panu Kippke. – Ja mówiłem po polsku, a ona po niemiecku.

– Widzisz? Mówiłem, że jest durna – skwitował.

Od tamtej rozmowy pani Pilz zaczęła chyba mnie unikać, bo już nigdy nie spotkałem jej na ulicy.

Tak oto okazało się, że nie umiałem rozmawiać ani z „wygnańcem politycznym” Adamczykiem, ani z „Niemką” Pilz. Pozostał mi tylko do rozmów śląski Niemiec Kippke i inni – nie-Polacy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 18.01.2022 16:20

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.